

Córka łupieżcy

fragment

*This city is an ogre squatting by the river
It gives life but it takes it away, my youth
There comes a time when you just cannot deliver
This is a fact. This is a stone cold truth. (...)*

*Amongst the cogs and the wires, my youth
Vanilla breath and handsome apes with girlish eyes
Dreams that roam between truth and untruth
Memories that become monstrous lies*

*So onward! And Onward! And Onward I go!
Onward! And Upward!*

Nick Cave „Do You Love Me? Part II”

Potem przypomni sobie, że znała to miasto – ze snów. Jego światła i cienie, nie do pomylenia z żadnymi innymi, kształty jego budynków, wzniesionych przed początkiem czasu, chrzęst pyłu pod nogami, gdy stąpa jego ulicą; nawet zapach powietrza. Niektóre widoki wywoływały szczególnie silny rezonans. Czy nie spoglądała już kiedyś z tego miejsca, nie zadzierała tak głowy? Pod Kruczą Basztą; na Moście Zawróconych; między Dwuścianami. Tu. Tam. Stojąc, siedząc, klęcząc, leżąc. Z oczyma szeroko rozwartymi i ustami niedomkniętymi, naprzeciw trzem słońcom, pięciu księżycom, równinom purpurowym, lodowym cementarzom, dymom wulkanów, zorzom czarnym – i tym bezimiennym metropoliom starożytnym, ku którym Miasto bezustannie lgnie. Lgnie, przyplływa, wtula się tęsknie, chyli ciało – zniedołężeniec ku objęciom dziecka. Zapomniał także własnego imienia. Pamięć ginie pierwsza i te szczątki, jakie pozostają, intencjonalne konfiguracje materii... któż rozszyfruje? Nazywają ich archeologami, lecz w rzeczywistości są budowniczymi przeszłości, artystami tajemnic. Zuzanna starannie skonstruowała własną: te sny – tak się odbijają wspomnienia z najgłębszego dzieciństwa, gdy ojciec zabierał był ją w sekrecie na nocne wycieczki do Miasta. Czarnobrody grubas z małą dziewczynką na ramionach – wędrowali tymi alejami, pokazywał jej, nierozumiejącej, posągi nieludzkie i domy hermetyczne, zakazane pisma, niewidzialne malunki, straszne krajobrazy wszechświata. Jest już pewna, że tak było, być musiało, sny ostatecznym dowodem. Najbardziej zdradziecka ze wszystkich – archeologia pamięci.

Nieczułość. Z sejfów głębokich. Spojrzała ponad grobem.

Zuzanna Klajn skończyła osiemnaście lat. W dzień swoich urodzin dostała od krewnych i znajomych liczne prezenty, wszakże te trzy, które zapamięta najlepiej, otrzymała przed urodzinami i pochodziły one od osób, które już lub jeszcze nie żyły: ojca, prababki i Maleny.

Malena została poczęta, lecz miała przyjść na świat dopiero w październiku. Tymczasem Zuzanna zaprzyjaźniła się z nią serdecznie. Z maszyny chthonicznej, w której się krystalizowała, lśniła się Malena

Zuzannie co wieczór oraz niektórymi porankami i w porze lunchu. Zazwyczaj plotkowały bezcelowo albo też opowiadała Zuzanna nienarodzonej kuzynce o swoich kłopotach; z jakiegoś powodu radości zdawały się jej bardziej intymne. Malena dobrze się czuła w świetle cieni i trochę się lękała nieuchronnego ucieleśnienia.

– Coś ostrego na podłodze. Albo jak się potknę; zawsze mogę się potknąć, prawda? Spaść skądś. Gdybym wychyliła się przez tę balustradę, przez wodę... Przecież nic by mnie nie uratowało.

– Ale dlaczego miałabyś się tak wychylać? Musiałabyś jeszcze zejść po spadzie i dopiero skoczyć.

– Ale mogłabym, prawda? Mogłabym. A wtedy – ciało.

Na spółkę z bliźniakami Ludo Zuzanna wynajmowała wąski apartament na czterdziestym czwartym piętrze Wodnej Wieży w elfiej dzielnicy Krakowa. Krakowskie Wodne Wieże wzniesiono przy samej jej granicy, za pasem bujnej zieleni; wiatry były tu bardzo silne, zwłaszcza po reklimatyzacji, niekiedy całkowicie zrywały wodne ściany, stożkowe wysokościowce wyglądały wówczas niczym drzewca deszczowych sztandarów, rosa spadała nawet kilometr dalej. Wracając do domu na piechotę, rzadko docierała Zuzanna do wodospadu bramy całkiem sucha – ale na tym między innymi polegała kulturowa specyfika Wież i takie przyzwyczajenia wymuszała elfia dzielnica.

– Co: ciało? Teraz to niby nie zależy od materii?

Malena wydeła wargi, z obrażoną miną przechodząc na drugi koniec tarasu, gdzie wskoczyła na kroniczny stolik i zaczęła na nim stepować do rytmu wodospadu.

Zuzanna lśniła ją już dobre dwie godziny, zaczynała boleć ją głowa.

– Każdy się rodzi – mruknęła, gasząc papierosa. – Daj sobie z tym spokój, jeszcze wypracujesz całą obsesję i będzie trzeba cię leczyć z niemowlęcej somafobii.

– Ty to serca nie masz! – krzyknęła Malena i wskoczyła na balustradę. Wodna ściana spadła po przedurodzonej kaskadami, momentalnie przemaczając sukienkę i ciągnąc w tył, nad spąd i przepaść. – Egoistka! Może i jestem głupie dziecko, ale ty nawet nie próbujesz się wczuć. Co z tego, że sama urodziłaś się na pusto? Odrobinę empatii...! Racja logiczna nie zwalnia od współczucia. O!

– Czy ty wiesz, o której ja dzisiaj wstałam? I kto tu mówi o współczuciu?

Malena machała rękoma, w zapamiętaniu aż wystawiając poza zęby wilgotny język.

– W ciele bym nigdy... – mruzczała, utrzymując równowagę na mokrej poręczy, gdy stopy przesuwają się centymetr za centymetrem. – Po co mi ciało...

Z wnętrza mieszkania dobiegły Zuzannę głosy bliźniaków, wołały ją na kolację.

Malena obróciła się i przemaszerowała po balustradzie ku Zuzannie.

– Mięśnie by mi drżały – wyliczała pod nosem – błędnik oszukiwał, pociałabym się ze strachu...

– Przede wszystkim w ogóle nie przyszłoby ci do głowy tu włączyć! – warknęła Zuzanna i zepchnęła Malenę poza wodną ścianę. Kichając głośno, zakończyła lsen.

Przez kilka kolejnych dni Malena dąsała się ostentacyjnie. Wreszcie, ponieważ i tak zbliżały się urodziny Zuzanny, przylśniła się jej w nocy odpowiednio gniewna i obrażona i wepchnęła w dłonie obwinięty czarnym akrylem prezent.

– Masz! Wszystkiego najlepszego!

Zuzanna, w tym śnie-lśnie zupełnie rozkojarzona i bez świadomości snu, przyjęła prezent w leniwym zdumieniu, nawet nie podziękowała. Potrząsnęła podarunkiem; nic nie zagrzechotało. Posiadał kształt owalnego pudełka. Zaczęła go rozpakowywać, lecz tymczasem sen wszedł w inną fazę i na resztę nocy zapomniała o prezencie.

Kiedy jednak rano lśniła pod prysznicem uaktualniony harmonogram dnia przysłany z Licz sp. z o.o., zauważyła pudełko na półce obok mydła. Sięgnęła mokrą dłonią. Ledwo dotknęła, wylśnił się cały podręcznik użytkownika. Słuchała wycierając się i czesząc. Ten prezent to był symulator prekonceptyjny, już zasadzony w wykupionej przez Malenę odpowiedniej maszynie chthonicznej.

Zuzanna wiedziała, że rodzice dają Malenie jakieś e-pieniądze, to jednak nie był mały wydatek – co prawda nieporównanie mniejszy od zakupu faktycznej krystalizacji sieci logicznej przekładalnej na fizjologię ludzkiego mózgu, ale jednak wielokrotnie większy niż nabycie którejś z owych lśnących lalek adaptacyjnych, „Barbie Generacji T”. Taka symulacja, jak wyjaśniano w podręczniku, „z zewnątrz” była nieodróżnialna od prawdziwego przedurodzonego; różnice sprowadzały się do uproszczeń technologicznych: symulacji nie można odbić w mózgu płodu, ale można na niej testować różne warianty osobowościowe, póki nie zdecydujemy, jakie właściwie dziecko chcemy skryzalizować – potem dokonuje się kilkietapowej translacji, w trakcie której zginie między innymi pamięć; podczas gdy prawdziwi przedurodzeni pamiętają wszystko i ciągłość jest zachowana na wszystkich poziomach.

Intencja, z jaką Malena obdarowała Zuzannę symulacją prekonceptyjną, była dość łatwa do odczytania. Nie po raz pierwszy spotykały Klajn oskarżenia o nieczułość. Słowa były różne – „obojętna”, „zimna”, „oderwana od rzeczywistości”, „zapatrzona w siebie”, „mizantropka” – ale sens jednaki. Uczciwie musiała przyznać, że nigdy nie należała do osób najłatwiej nawiązujących znajomości i zawsze był między nią a ludźmi, między nią a światem – jakiś dodatkowy dystans, którego nie dostrzegała u innych, coś ją od nich oddzielało, musiała się świadomie zdobywać na jeden wysiłek więcej. Być może u mężczyzny nie rzucaliby się to tak w oczy; bo trudno wskazać kobietę, która nie posiadałaby przynajmniej jednej „bliskiej przyjaciółki”. Natomiast Zuzanna nie czuła się do końca członkiem żadnej grupy, ani częścią żadnego związku, nawet w jej stosunku do Kamila było pewne chłodne wyrachowanie: ta nieustępująca świadomość, iż normalni ludzie tak właśnie się zachowują, normalni ludzie się zakochują i żyją razem – więc i ona powinna, prawda?

Ubierając się do pracy, Klajn zastanawiała się, czy w ogóle uruchomić symulację; czy po prostu nie odsprzedać tego prezentu, jakkolwiek niegrzeczne byłoby to wobec obdarowującej. Bo takich rzeczy nie da się potem po prostu „wyłączyć”, chcąc nie chcąc człowiek się przywiązuje, buduje sieci emocjonalne, życie jest życie – dobrze wiedziała. Obracając to wszystko w głowie, zajrzała jeszcze do sypialni bliźniaków, by, jak co dzień, obudzić ich na czas do pracy. W nocy splątali się z błękitną pościelą, tak, że trudno było rzec, do kogo należy która kołczyna. Zuzanna szarpnęła za wszystkie nogi po kolei. Zaspane dwunastolatki wynurzyły się z błękitu, przeklinając Zuzannę – jak co dzień.

W Licz panowała atmosfera obłączenia, po Podziemnym Świecie musiała przejść kolejna fala panicznych przeczuć, pośmiertni przerzucali kapitał w niespodziewane inwestycje albo też doradzali takie ruchy swoim nieumarłym oryginałom lub potomkom, w każdym razie od gęstych lśnów oczy zachodziły maklerom różową krwią. Bóstwa chthoniczne zawiadywały już pośrednio lub bezpośrednio blisko jedną dwudziestą globalnej gospodarki, a to stanowiło wpływ bardzo znaczący, zwłaszcza w Azji, gdzie od lat wszyscy mandaryni partyjni i generałowie-miliarderzy żyli w Cieniu. Jeśli można w ogóle nazywać to życiem, bo Zuzanna nadal miała wątpliwości. Podczas pierwszej przerwy papierosowej bawiła się machinalnie lśnącym pudełkiem od Maleny, wciąż niezdecydowana. Zaczęło się powoli rozmywać pod jej palcami. Zbyt dużo lśnu, skontatowała, libaryt wypłukuje mi się już z krwi, trzeba dać sobie w żyłę.

Prezent od ojca przyszedł pocztą elektroniczną. Nadawcą była brukselska kancelaria notarialna. Że Zuzanna została zaskoczona, to mało powiedziane. Ojciec był mitologiczną bestią jej dzieciństwa, nie myślała o nim inaczej, jak w kategoriach legendy, a i to jedynie w skojarzeniu z jakąś rodzinną historią, nigdy spontanicznie. A tu nagle: wychodzi z ekranu, siada na biurku, drapie się po pokrytej czarnym zarostem brodzie.

– A więc nie żyję – rzecze. – Jeśli nie jestem martwy, to w każdym razie nie jestem też żywy; przynajmniej dla ciebie. Taak. Nie wiem, czy mnie w ogóle pamiętasz, Zuz. To ja, tato. – Uśmiecha się niepewnie, mruga łobuzersko. – Pamiętasz? Nagrywam to na dzień przed twoimi trzecimi urodzinami. Pewne wydarzenia... Twoja matka miała rację, ja nigdy nie dorosnę. Masz teraz osiemnaście lat, jesteś

pewnie bardziej odpowiedzialna ode mnie. A może nie? Mam nadzieję, że... Widzisz ten klucz? Odbierzesz kartę z nim w Drugim Włoskim w Rotterdamie na podstawie swojego DNA. To mój prywatny klucz, przepisałem na niego wszystkie nieosobowe uprawnienia. Zgłoś się potem do krakowskiej filii Abominado; kancelaria Lipszyca poinformuje cię o procedurach spadkowych i tym podobnych... Boże, tak naprawdę to chciałbym cię teraz zobaczyć. Jak wyglądasz? Porozmawiać z tobą. Jak się śmiejesz? Uśmiechnij się raz dla mnie, dobrze? Byłaś takim kochanym dzieckiem... No, już, wyłączam się. Trzymaj się, Zuz. Zbój *is out*.

Obejrzała to chyba dziesięć razy. Nawet Mateusz ze stanowiska obok zwrócił uwagę.

– Kto to? – spytał.

– Mój ojciec.

– Skąd dzwonił?

– Nie żyje.

– O!

– Od lat.

– Ach.

– No właśnie.

Dwa papierosy później nadal nie wiedziała, co o tym sądzić. Sprawdziła szyfry pocztowe nadawcy, ale wszystko się zgadzało, plik przyszedł od brukselskiego notariusza. Wierzyła, chociaż nie wierzyła – ten mężczyzna, mrugający do niej z projekcji... Więc naprawdę miała ojca! Lecz trudno powiedzieć, żeby nią to przesłanie zza grobu wstrząsnęło, zdenerwowało czy choćby wzruszyło – dziecinnie zdumiona, siedziała i robiła dziwne miny do swego odbicia na wyblankowanym ekranie. Czy on istotnie mówił był do niej „Zuz”? Czy w ogóle posiada jakiegokolwiek wspomnienia o swoim ojcu, czy też są to tylko wspomnienia wyobrażeń o nim, zrodzonych z opowieści matki i krewnych? Cóż, teraz to już tak czy owak nie do rozstrzygnięcia.

Sprawdziła rozkład poślizgówek do Rotterdamu. Drugi Bank Italii był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc czas nie stanowił problemu – zdążyłaby obrócić po pracy tam i z powrotem. Jeśli już cokolwiek, to niepokoił ją raczej fakt, że zgłaszając się tam po klucz, wypełniałaby ślepo plan owego człowieka – Jana Klajn – jej ojca – o którym nie wiedziała nic.

Cóż niby mogłoby jej grozić w związku z przejęciem prywatnego klucza zmarłego rodzica? Daje się tu porwać filmowej paranoi; powinna się rozczulać nad rodzinnymi fotografiami, nie zaś dociekać ukrytych motywów nieboszczyka. A jednak – niepokój.

W drodze do domu przelśniła się ciotce Mariannie. Na ostatnich kroplach libarytu połączenie było słabe, płaskie, nie czuła faktury foteli samochodu, którym jechała ciotka, zapach jej perfum też był ledwo wyczuwalny; słyszała jednak wyraźnie.

– Testament, naprawdę? W Brukseli? A to by się zgadzało, tam przecież wtedy pracował.

– Ale dlaczego on w ogóle coś takiego nagrał? Spodziewał się? Musiał się spodziewać. A przecież to był wypadek, prawda?

– Mhm, no, niezupełnie.

Ciotka Marianna obróciła się ku Zuzannie, podwijając prawą nogę i opierając się o drzwi samochodu. Wóz sunął po obwodnicy, niskie słońce rozlewało się po spolaryzowanych szybach czerwonymi akwalerami. Ciotka patrzyła gdzieś ponad ramieniem Zuzanny, palcami o długich, seledynowych paznokciach rozczesując sobie spływające na ramię włosy.

– Teraz mi wyjawisz straszną tajemnicę rodzinną – mruknęła Zuzanna.

– Och, nic takiego – zaśmiała się ciotka; nadal jednak nie patrzyła dziewczynie w oczy. – Po prostu... No chyba cię okłamałyśmy. To znaczy – nie świadomie. Rozumiesz, byłaś mała, ile, cztery latka? Daje się wówczas odpowiedzi najprostsze, innych dzieci zwyczajnie nie rozumieją.

– Rozumieją.

– Wiesz, o co mi chodzi! – zirytowała się ciotka i wreszcie spojrzała na Zuzannę. – Normalne dzieci. W każdym razie wtedy nie rozumiały. No więc powiedzieliśmy, że miał wypadek; a potem widać nigdy tego nie odkręciła. A to jest prawda. To znaczy – tak jest w papierach, takie mu świadectwo zgonu wystawili: wypadek.

– A naprawdę?

– Naprawdę – nie wiadomo. Nie znaleziono ciała.

– Co właściwie się stało?

Marianna wzruszyła ramionami. Seledynowe paznokcie powędrowały ku wygiętym grymaśnie wargom, gdy zastanawiała się nad słowami.

– Nie wrócił z badań polowych. Czy jakoś tak. Pewnie wykopaliska. Szukali go; bez rezultatu.

– Zaginął więc. Gdzie?

Ponowne wzruszenie ramion.

– Nie wiesz? – zdumiała się Zuzanna.

– Twoja matka prowadziła przez lata prawną batalię... Powinnaś znaleźć w jej plikach. Nawet nie wiem, czy uzyskała jakieś konkretne odpowiedzi. On zjeździł pół świata, czasami dzwonił z miejsc, których nazwy nawet wymówić się nie dało, co dopiero zapamiętać i... Hej, gdzie uciekasz...?

Wbiegła do Wodnej Wieży z odchyloną wstecz głową, zaciskając palcami nozdrza. Krwotok poplamiał bluzkę. Powinna była być mądrzejsza, nie można lśnić na sucho. Przejście przez wodną kurtynę nieco ją otrzeźwiło (wiał halny i trójkątny spad głównej bramy nie rozdzielał ściany sztucznego deszczu).

Z bliźniaków był w domu tylko Bartek, siedział w salonie nad jakimiś papierami, nawet nie uniósł głowy. Poszła prosto do siebie.

Dwa pokoje: sypialnia i biblioteka, która była biblioteką jedynie z nazwy, w istocie bardziej przypominała magazyn, stały tu kartony z rzeczami ze starego mieszkania, do których rozpakowania nie mogła się Zuzanna zmusić od przeprowadzki po śmierci matki. Żadna trauma, nic podobnego; po prostu odruchowo ustawiła je w stosach pod ścianą, najpierw odkładając sprawę do czasu skończenia studiów, potem – do znalezienia pracy, a teraz mówiła sobie, że przeprowadzi selekcję, gdy będzie się przenieść do swojego mieszkania, już wpłaciła pierwszą ratę. Była leniwa, ot i całe powikłanie psychologiczne. Zmiana zazwyczaj przegrywała u niej ze *status quo* – i stąd też, przypuszczała, brało się jej zaniepokojenie listem ojca z za grobu. Po co rewidować pamięć już uleżaną, choćby i fałszywą? – teraz i tak nie ma to przecież znaczenia. A śwędzi i piecze, i nie pozwala przestać myśleć.

Przysiadłszy na łóżku wstrzeliła sobie w żyłę nabój wysokotrombocytowego libarytu. Potrwa, zanim odpowiednio rozejdzie się w organizmie. ART do Rotterdamu miała o dwudziestą dwaście, akurat czas, żeby coś przelknąć i przebrać się stosownie. Może w elfi garnitur...? Kosztował ją całe dwie pierwsze pensje, często go nosiła bez oficjalnej okazji, choćby na spotkania z klientami Licz; zabierała ze sobą na wszystkie wyjazdy, usprawiedliwiona próżność to nie wada. Bardzo się sobie w nim podobała: wyglądała wówczas prawie jak gwiazda biznesu czy polityki, kroniczny materiał pozostawał zawsze nieskazitelnie biały, zawsze idealnie się dopasowywał do figury, nieomal wyprzedzając życzenia i nastroje; no i ten dotyk, bardziej miękki od jedwabiu – elfie ubrania wdziewa się na gołe ciało. Jak dziewczynka pierwszy raz dostrzegająca w sobie przedmiot pożądania i eksperymentująca z formami kobiecości – przeglądała się teraz w nadržwiowym lustrze, śnieżna biel marynarki kontrastująca z trwale opaloną skórą, kształt dekoltu zależny od sposobu zapięcia haftek, czarne włosy spuścić na plecy, czy upiąć wysoko...? Odwracając się od szafy, zahaczyła wzrokiem o czarną paczkę od Maleny. Bez zastanowienia sięgnęła i szarpnięciem otworzyła pudełko. W środku, oczywiście, nie było niczego. Mamrocząc pod nosem, wyrzuciła je do śmieci.

Podreptała do kuchni nastawić robota. Gdy stała nad ekranem siemensowego *all-cooka*,

niezdecydowana między mięsną pizzą a Bardzo Zdrową Zieleniną – w lekkim mrowieniu podniebienia i opuszków palców opadł ją lsen. Oczekiwała na nią rozmowa z adresu chtonicznego. Odebrała na sztywnej lokacji. Ktoś zapukał w uchylone drzwi kuchni.

– Wejść! – krzyknęła przez ramię, zatwierdzając syntezę pizzy.

Kobieta objęła ją od tyłu, całując w policzek.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Wymanicurowane, długie palce spoczęły lekko na obojczyku – poznała ją po pierścieniach.

Obrączka, rubin, srebrny węzeł... biżuteria dziewiętnastowieczna. Izabella, babka ojca, przepisała się w Cień w wieku stu trzech lat; odtąd nie opuszczała czterdziestego roku życia.

– Iza! Nie odzywałaś się ostatnio!

Uścisnęły się mocno. Izabella odsunęła prawnuczkę na odległość wyciągniętych ramion.

– Rzeczywiście, zbyt długo chyba; prawie cię nie poznałam.

– Co właściwie zabiera ci tyle czasu? Myślałby kto, że po śmierci człowiek może nareszcie odpocząć.

Izabella zaśmiała się gardłowo.

– Wystarczająco naodpoczywałam za życia!

Przy kuchennym stole wymieniały ostatnie nowiny. Zuzanna wrzuciła do pralki poplamioną bluzkę. Pizzę jadła za pomocą sztućców, krojąc ciasto na drobniutkie kawałki. Babka opowiadała gestykując dłonią z papierosem, pierścienie traciły blask za zasłoną sinego dymu. Gdy usłyszała o testamencie swego wnuka, tylko uniosła brew.

Zuzanna coraz częściej popatrywała na zegarek. W obecności Izabelli zadzwoniła po taksówkę. Gdy podniosła się, by wstawić talerz do zmywarki, prababka wstała również.

– No, bo jeszcze się przeze mnie spóźnisz. Powinam częściej zaglądać... Niechże cię ucałuję! Ach, zapomniałabym, a potem nie będę mieć czasu – proszę, baw się dobrze.

– Co to jest?

– Ipsar, ipsator. Dostaniesz z jutrzejszą pocztą. No to pa.

Był to, oczywiście, pierścień. Gdy zjeżdżając windą do taksówki wyszła ze lsnu, rozmył się razem z resztą; nie była teraz w nastroju do zabawy gadżetami, w jakich lubowała się pośmiertna prababka.

W pustym przedziale poślizgówki włśniła się ponownie. Chciała się od razu zabrać za pliki archiwalne matki (one też leżały w kącie jej serwera w nie ruszanych od dawna katalogach, nie miała ochoty ich w ogóle otwierać i z początku rozważała nawet wykasowanie *en masse*), ale rozsunęły się drzwi i na fotel naprzeciw Zuzanny wskoczyła dziesięcioletnia dziewczynka. Zuzanna może i wzięłaby ją za część świata materii, gdyby nie fakt, że dziewczynka, zachowując wszystkie proporcje ciała dziesięciolatki, miała nie więcej niż trzydzieści centymetrów wzrostu.

– Cześć! – pisnęła radośnie, usadowiwszy się na skórzanym siedzeniu. Błękitna sukienka sięgała jej kolan, chuderławne łydki nosiły ślady zadrapań i strupów po obtłuczeniach. Machała energicznie bosymi stópkami, które oczywiście nie sięgały podłogi.

– Niech zgadnę – westchnęła Zuzanna – to ty jesteś tą symulką.

Dziewczynka pokiwała głową.

– Ula – przedstawiła się.

– Miło mi – mruknęła Zuzanna, pochylając się, by delikatnie ująć w swoją dłoń rączkę Uli – ale czy nie mogłabyś na razie dać mi spokój? Wywołam cię, gdy tylko będę miała czas, i wtedy się pobawimy, okay?

– Mam sobie pójść? – nadała się mała.

– Prześpij się może, co?

– Ale mi się nie chce spać!

Zuzanna już wyjęła telefon i połączyła się z oesem swojej hierarchii.

– Zdejmij mi tę symulację pre-K, dobra?
– Okay, zamknięta ścieżka. Wywołanie na auto czy ręcznie?
– Ja nie chcę żadnej zamkniętej ścieżki, ja chcę to wyłączyć na paręnaście godzin.
– Nie da się, proszę pani, to idzie w czasie chtonicznym, możemy jedynie zamknąć łącze – będzie szło dalej, tylko że bez manifestacji. Program ewolucyjny, żywy *software* na żywym *hardware*. Nie należało uruchamiać, jeśli...

– Stop. Zamknięta ścieżka.

– Już.

Ula pokazała Zuzannie język, zeskoczyła z fotela, potknęła się i, kuśtykając, wybiegła z przedziału.

Kilkadziesiąt minut spokoju. Wylśnione dokumenty z archiwum matki spiętrzyły się na szerokich fotelach w trzech stertach, czym prędzej je związała, by się nie rozsypały podczas hamowań, gdy ART będzie schodzić pod barierę dźwięku. W pierwszej stercie zsortowano papiery dotyczące operacji prawnych i finansowych matki, bez specjalistycznych doradców nie szło cokolwiek z tego zrozumieć. Znalazła, co prawda, podsumowanie sporządzone przez izbę skarbową przy okazji orzeczenia podatku spadkowego (to znaczy jego braku, majątek państwa Klajn nie był w świetle ustawy żadnym majątkiem), ale o losie Jana Klajn nie wspomniano ani słowem – polisy na życie nie posiadał.

Druga część dokumentów związana była z pracą matki w Mościckim. W stercie trzeciej i ostatniej zgromadzono resztę papierów, i tu Zuzanna znalazła gruby plik starej korespondencji między matką i jej prawnikami a Instytutem Wernera i jego prawnikami. Sprawdziła daty. Od pierwszego do ostatniego listu minęło ponad trzy lata. Zaczęła od końca. Kancelaria informowała o wyczerpaniu wszelkich dostępnych prawnych narzędzi oraz możliwości nacisku; nic więcej o losie Jana Klajn nie uda się dowiedzieć. Zuzanna cofnęła się o kilka listów, by sprawdzić, czego właściwie się dowiedzieli. Jedyne źródło informacji stanowił Departament Badań i Eksploracji Instytutu Wernera, gdzie zatrudniony był w momencie zaginięcia Jan, na dokumentach podpisywał się głównie niejaki doktor Johann de Greu, sygnowała je dyrektor Instytutu, Zelle F. Suiche.

„Z żalem informujemy, iż pan Jan Klajn nie powrócił w przewidywanym czasie z ostatniej ekspedycji. Intensywnie prowadzone przez kolejne dwa miesiące poszukiwania nie dały rezultatu. Tym samym zostaje on uznany za zaginionego. Wynikające z tego konsekwencje opisuje punkt piąty umowy”.

Kopię umowy skrupulatnie dołączyła. Trzykrotnie przeczytała ów punkt, nie mogąc uwierzyć własnym oczom – przecież coś takiego jest jawnie sprzeczne z prawem UE: całkowita tajność plus zrzeczenie się wszelkiej odpowiedzialności przez Instytut. Co, u licha, od kiedy to podobne placówki naukowe mają procedury asekuracyjne ściślejsze od spółek *software'owych*? Myślałby kto, że firmy archeologiczne notowane są na giełdach...!

W Rotterdamie padało. Wybudziła się do reszty ze łsnu, nocnego nieba nie przesłaniało jej nic prócz ciężkich chmur, światła rozmywały się w deszczowych smugach. Pod srebrnym parasolem, nieświadomie licząc stuknięcia swych obcasów o kamienne płyty, pomaszerowała do taksówki. Usiadłszy na miejscu kierowcy, patrzyła na migające za szybą miasto, ale myślami pozostawała wciąż przy kontrakcie ojca. On naprawdę brzmiał podejrzanie. Ze wszystkich możliwych uczuć – to, które ją teraz powoli opanowywało, było najbardziej dziecinne: ekscytacja, iż oto trafiła na Tajemnicę Rodzinną, sekret śmierci ojca, bardziej wyobrażanego niż pamiętanego, w aurze starych grobów, przeklętych skarbów i egzotycznych krain; i że dopiero ona rozwiąże tę Zagadkę... Trochę Daphne du Maurier, a trochę „Indiana Jones”. Zuzanna uśmiechała się na to ironicznie do swego odbicia w szybie taksówki – ironia nie tłumiała jednak podniecenia, rozumowa argumentacja nie zgasi dreszczy na skórze.

Drugi Bank Włoch mieścił się w renesansowym kościele. Złożywszy parasol w jasno oświetlonym holu, zapaliła papierosa. Garnitur wypacał nocną wilgoć drobnymi kroplami, skrzącymi się diamentowo

w sterylnym blasku bankowych lamp. Wydmuchując dym, uniosła głowę i zapatrzyła się na długą chwilę na ciemny fresk – stworzenie świata czy inna panorama monumentalnego cudu. Zgasiwszy peta, weszła do środka.

Okazało się, że jest o tej porze jedynym klientem. Kierownik nocnej zmiany zaprowadził ją do bocznego gabinetu, zapadła się w trzeszczącą skórę wysokiego fotela. Uprzedziła ich telefonicznie kilka godzin wcześniej i wszystko było gotowe. Sekwenser protokolarny miał kształt eleganckiej szkatułki z brązu i hebanu, Zuzanna musiała się pochylić ku szerokiemu biurku. Gdy wkładała dłoń do ciemnego wnętrza, przypomniała się jej scena z „Diuny”. Ale oczywiście nic nie poczuła; sonda musiała wejść głęboko, to nie był jakiś tandetny identyfikator naskórkowy – lecz wpierw zaaplikowała mocny anestetyk. Bankier przyglądał się procedurze z wystudiowaną obojętnością, za którą była mu bardzo wdzięczna. Podświadomie czuła się jak na jakimś teście, egzaminie o niepewnym rezultacie – może zda, może nie zda. Uczucie było irracjonalne, jest przecież Zuzanną Klajn: znała swój DNA i DNA rodziców, nie mogło być wątpliwości – a jednak gdy Holender ogłosił pozytywny wynik identyfikacji, odetchnęła z ulgą.

– Ta karta – rzekł wręczywszy jej kroniczny prostokąt – jest jedną z serii sześciu, we wszystkich żyje ten sam szyfr. My go urodziliśmy, lecz zapewniam panią, że nie posiadamy kopii. Z definicji kopiowanie jest niemożliwe. Proszę być bardzo ostrożną, ona jest nie do odtworzenia.

Zakładając, że jedną dysponował ojciec, daje to cztery sejfy zamknięte bliźniaczymi szyframi; sejfy albo inne miejsca warunkowego dostępu, materialne lub niematerialne. Delikatnie przesunęła opuszkami palców po chropowatej powierzchni karty, jakby istotnie spodziewając się wyczuć pod skórą ciepłe pulsowanie kryptożycia.

– Czy pan Klajn zostawił jakieś...

Bankier pokręcił głową.

– Obsługiwaliśmy jego rachunki bieżące, gdy pracował w IW, ale, jak widzę, to były małe sumy, średnia salariatu. Dopiero tuż przed tym...

– Co: tuż przed tym?

Wstał do pożegnania.

– Proszę przyjść z pełnomocnictwami.

Ucałował jej dłoń i odprowadził do wyjścia.

Nadal padało. Zanim otworzyła parasol, wahała się, gdzie schować kartę; w końcu wsunęła ją do kieszeni marynarki.

W drodze na dworzec wślśniła się, by sprawdzić godziny pracy krakowskiego Abominado – od razu dosiadła się Malena.

– Gdzie ty wojażujesz? I to o tej porze? – Wyjrzała na deszczowy Rotterdam nocy i neonów. – Oj, nosi cię, nosi.

– Rodzinny sekret. W życiu nie uwierzysz.

– W życiu pewnie nie... A Ula?

– Co ty, monitorujesz mnie?

– Tobie dać prezent...!

– Czekaj, mam tu drugi wyłączny, nie pójdę schizo dla twojej wygody.

Drugi lsen był eksportowany, nad Brazylią dopiero co zaszło słońce, spotkała się z Kamilem w cieniu asymetrycznej architektury postniemeyerowskiej.

– Pomyślałem, że przynajmniej ucieszę cię dobrą wiadomością na urodziny – rzekł, nie wypuszczając Zuzanny z uścisku. – Za trzy tygodnie powinienem już być z powrotem.

Złapała go za nos, wykręciła, aż się skrzywił.

– Najpierw miesiąc się nie odzywa, teraz dzwoni w środku nocy.

– Au! Nie śpisz przecież, sprawdziłem.

– Dżentelmen.

Chciał ją pocałować, ale się wywinęła.

– Jeszcze się wyćwiczę w asertywności.

– Dla mnie jesteś asertywna jak trza.

– Zobaczysz.

Usiedli na ławce pod nieczynną fontanną. Kamil pogryzał słoneczną marchewkę.

– Już się powoli uspokaja – mówił. – Kabaliści weszli do slumsów, głos Watykanu wszystko zmienił, teraz to idzie po dziesięć tysięcy dziennie, takiego Mexico City nie poznałabyś w ogóle. Ale co ja ci tu będę demograficzne bajki... Co u ciebie?

Złapała się na tym, że, opowiadając mu, spłaszcza i trywializuje fakty, jakby uprzedzając spodziewane Kamilowe szyderstwa i uśmieški niedowierzania. W efekcie właściwie go okłamała: ot, spadek po ojcu i przedśmiertny list AV.

Chciała się zdrzemnąć w powrotnym poślizgowcu, lecz zupełnie już przeskoczyła swój cykl dobowy i teraz tylko podpierała rękoma ciężką głowę, z zaciśniętymi wargami gapiąc się w czarne okno, za którym bezgłośnym strumieniem płynęła wstecz nocna Europa. Zuzanna sięgnęła po kryptokartę, ale pomyliła kieszenie i trafiła na lsenny pierścień ipsatora. Niewiele myśląc, wsunęła go na palec. Gęsty lsen zakłębził się w przedziale.

Wielce rozgałęziona rodzina gadżetów ipsacyjnych początek swój brała z prymitywnych implantów masturbacyjnych, które zasadzały się jeszcze na technice inwazyjnego drażnienia ośrodków przyjemności w mózgu. Rychło wyewoluowało to w specjalistyczne trenażery behawioralne, wiążące fizjologiczny bodziec dodatni z wykonaniem jakiejś powtarzalnej czynności (lub jej zaniechaniem); rzadziej programowano analogiczne bodźce ujemne. Psychologiczne podstawy owych rozwiązań leżały nie tyle w teoriach Pawłowa, co jeszcze w Arystotelesowskiej koncepcji natury ludzkiej: zacznij konsekwentnie zachowywać się jak człowiek odważny – udawać odwagę – a w końcu staniesz się odważnym; zachowuj się jak tchórz, a zmienisz się w tchórza także w głębi swego serca. Przed wdrożeniem technologii Kabaly Genowej i WHO-wskich programów immunizacyjnej translacji DNA, podobnych Kamilowemu, szczególnie popularne były ipsatory odchudzające oraz antynikotynowe, warunkujące mózgi użytkowników do czerpania rozmaitych przyjemności z powstrzymywania się od jedzenia czy palenia. Potem owe zagrożenia zblakły i zastosowania stały się bardziej subtelne. Oczywiście nadal spotykało się hasasynów, płynących przez życie na falach ciągłych orgazmów, a w każdym razie nie schodzących z endorfinowego haju – często plątał się im język, belkotali niewyraźnie, gubiąc spółgłoski, albo w ogóle nic nie mówili, pewni, że najpełniej komunikują się ze światem za pomocą swego żabiego uśmiechu. Zuzanna przeszła była przez tę fazę, jak chyba każdy; i, jak większość, wyszła z niej z pamięcią potwornego, zgoła metafizycznego zmęczenia pustym szczęściem organizmu.

W czym ipsator Izabelli różnił się od innych? Hasło kampanii reklamowej modelu Angelus brzmiało: **ABY STAĆ SIĘ LEPSZYM CZŁOWIEKIEM**. Na ogólnoswiatowy rynek miał wejść dopiero za parę tygodni. Zuzanna lśniła materiały promocyjne.

– Jeśli istnieje w ogóle jakaś wspólna religia ludzkości – mówił, wykupiony w tym celu od spadkobierców jego wizerunku, Martin Luther King – to zasada się ona na tym przekonaniu, że wszyscy ludzie, może za wyjątkiem nielicznych przypadków patologicznych, wszyscy ludzie w głębi duszy pragną być lepszymi niż są. Tęsknią do piękniejszego, doskonalszego wyobrażenia samych siebie. Gdyby mogli się dowolnie wybierać, nie wybraliby do zaistnienia takich, jakimi się postrzegają; dobrze wiedzą, co w nich jest złego, dobrze wiedzą, jak powinni postępować, w nocy, na dwa oddechy przed zaśnięciem, mają pod powiekami anielski obraz samego siebie. Dlaczego zatem są, jacy są, dlaczego

żyjemy w świecie, w jakim żyjemy? Bo zmiany natychmiastowe nie są możliwe; bo każda zmiana kosztuje i na drodze do doskonałości wiele jest łatwiejszych do osiągnięcia, prostszych satysfakcji. Gdyby była to kwestia jednorazowej deklaracji, któż nie podpisałby się pod przysięgą: „będę uczciwy, będę szlachetny, będę odważny”? Niezależnie od tego, co dokładnie pod owymi słowami rozumie – jakiś obraz ideału w sobie przecież nosi. Ipsator Angelus – tu King zaprezentował logo produktu – umożliwia dokonanie właśnie takiej jednorazowej, natychmiastowej decyzji. Nie znaczy to, że zmieni cię on z miejsca w ideał – ale że po tej decyzji będziesz miała przy sobie anioła stróża, który ani na moment nie zapomni o docelowym obrazie ciebie, jaki mu na początku przedstawiłaś, i będzie cię prowadził, dzień pod dniem, delikatnymi nagrodami i karami, wbrew twoim chwilowym słabościom i żądom, namiętnościom i pokusom, ku temu, czego naprawdę pragniesz. Za każdym razem, gdy postąpisz krok bliżej, będziesz czuła, że czynisz dobrze; wkrótce twój mózg nauczy się tej ścieżki szczęścia. Nie ma w tym bynajmniej żadnego zniewolenia, nie staniesz się przez to mniej ludzka: w każdej chwili możesz podjąć decyzję odrzucenia ipsatora i rezygnacji z ideałów – jeśli tego naprawdę chcesz. I sama musisz również wykonać pierwszy ruch, twoja jest wola i wybór: aby zakupić Angelusa firmy Tiessen-Kyota, zaledwie czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć euro.

Wszystko pięknie, pastorze King – pomyślała Zuzanna – ale co, jeśli większość ludzi, a w każdym razie większość tych, na których ta reklama zadziała, wyobraża się sobie wcale nie aniołami, lecz jakimiś komiksowymi herosami popkultury, niekoniecznie od razu złymi, a po prostu: bardziej bezwzględny w interesach, łatwiej kłamiącymi, nie rumieniącymi się w towarzystwie, uwodzicielsko bezczelnymi – takie drobne przewagi dla *Homo societus* – co wtedy? I jakie będą z kolei ich ideały, tych kronicznych aniołów Generacji T?

Angelus powinien już czekać na nią, gdy wróci do domu; program wszakże – to znaczy docelowe wyobrażenie siebie, Zuzannę Klajn *in optimo* – mogła zaprojektować już teraz. W nastroju, w jakim się znajdowała, w tym gorączkowym rozdrażnieniu między ekscytacją a rosnącym powoli, nieukierunkowanym gniewem – nie potrafiła jednak przywołać żadnego konkretnego obrazu siebie. Lecz Angelus posiadał w firmowej bazie bogaty zbiór domyślnych wektorów zmiany. Przeglądała symboliczne opisy: Rycerz, Książę, Tao, Sędzia, Pielgrzym, Trzcina, Opiekun, Błazen, Krzyżowiec, Szkło, Aptekarz, Zdobywca... Przed Wrocławiem, drogą mozolnej eliminacji, zawęziła wybór do Skorpiona, Księcia i Ateny. Niezdecydowana, poszła ścieżką najmniejszego oporu i złożyła wszystkie trzy w wypadkową, którą sama nie wiedziała, jak nazwać. Angelus zapisał ją w pustym rejestrze jako Wektor1.

Kraków przed świtem zdawał się jej zawsze najspokojniejszym miastem na świecie, chłód ciemnych kamieni i chropowatych murów udziela się tu samotnym przechodniom, rozprężone powietrze przewodzi dźwięki z odległych dzielnic duchów, na języku krystalizuje się brudna sól miasta... Poszła pieszo, noc ją otrzeźwiła.

Malena tańczyła wokół niej na wilgotnym bruku.

– Albo tak: znalazł skarb, ale dopadła go konkurencja, a tyle, ile zdołał wcześniej wydostać, zostawił tobie. Po piętnastu latach nikt się nie dowie. Osiemnastka, bo wtedy taka była prawna granica dorosłości. Co? Nie?

Na Rynku złapał Zuzannę wschód słońca; samo słońce trzymało głowę nisko, za budynkami, lecz chmurne niebo w przeciągu kilku minut nabiegło wiśniowym sokiem, zaróżowiło się powietrze i rumieńce wyszły na kamienie. Zuzanna jeszcze bardziej zwolniła, w równoległym lśnie niezagnieżdżonym rozmawiając z programem sekretaryjnym kancelarii Lipszyca.

– A może żyje – paplała Malena. – Może wcale nie umarł. Przecież mówisz, że nie wiesz. Zaginał, nie? No więc może on to wszystko zaaranżował.

– Piętnaście lat temu.

- Nie, nie. Teraz – skoro żyje. Żeby się z tobą spotkać.
- A co mu broni?
- Ooo, a bo to nie wiesz – tylko czekają, żeby się ujawnił.
- Niby kto czeka?

Malena teatralnie ściszyła głos.

- Oni.
- Zdecydowanie powinnaś się już urodzić.

Abominado, Pierwsza Kasa Chtoniczna, nie wznosił swych siedzib w świecie śmiertelników. Wyszedłszy z cienia Kościoła Mariackiego, Zuzanna zadzwoniła na 00-ABOMINADO i spod powierzchni Rynku wystrzeliła karkołomna architektura banku Cienia. Korona spiralnej wieży zwieńczyła lsenną budowlę ponad trzysta metrów nad ziemią. Widziała drobne figurki ludzi wychylających się przez ażurowe blanki. Konstrukcja zwykła się zmieniać zgodnie z cyklami lunarnym i solarnym (pośmiertni są bardzo przesądni, sfery niebieskie i tajemne numerologie ciemnych matematyk rządzą Podziemnym Światem). Zuzanna odwiedziła już kiedyś Abominado pod znakiem Wagi i był to wówczas labirynt prostopadłych kratownic, w niczym nie podobny do barokowych kopuł, pod jakie wchodziła teraz. Wieża jednak – wieża stoi tu zawsze.

Abominado Building był lsнем wielokrotnego zagnieżdżenia: nie dość, że lśnił się równolegle w tysiącach miejsc na Ziemi, zazwyczaj na dobrze znanych, historycznych placach i ulicach, wszędzie taki sam – a z wieży mogłeś obejrzeć ów kalejdoskop krajobrazów – to dopuszczał zarazem połączenia zewnętrzne. Kogo mianowicie Zuzanna na owej wieży widziała? Sama mogłaby się tam włsnić – ale ojciec wyraźnie mówił o placówce krakowskiej, co mogło oznaczać tylko jedno: depozyt materialny, tutaj właśnie złożony.

Abominado rozciągał się na pół Rynku oraz na część ulic odeń odchodzących, aż do Plant. W płytkim półłśnie Zuzanna weszła przez główny portal pod kopułę szkarłatu. Malena zaraz gdzieś się zgubiła w świetlistych salach, dla niej zapewne bardziej rzeczywistych od Sukiennic – chociaż to przecież też był tylko cień Cienia, wirtualna manifestacja życia chtonicznego.

Odźwierny przywitał Zuzannę przy wejściu na Szewską. Zuzanna pokazała kryptokartę. Poprowadził ją do kamienicy, której piwnice należały do Abominado – lsenny bank był czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę, we wszystkich miejscach i strefach czasowych naraz, lecz do zasobów materialnych klienci posiadali dostęp tylko w określonych lokacjach o określonych porach. Co prawda, materia zajmowała się Pierwsza Kasa Chtoniczna akurat najmniej – i być może z racji tego oderwania od świata żywych wybrał ją Jan Klajn; jej czas płynął inaczej.

Na owym poziomie lsnu Zuzanna minęła więcej porannych przechodniów – czyli czworo – niż innych klientów; żebrak pod murem, stara zakonnica z psem, dwie dziewczynki palące papierosy pod markizą nieczynnej jeszcze kawiarni. Klienci bowiem lśnili się wprost ze swych domów, nie zstępowali na ziemię, dla nich były wysokie komnaty Abominado, dla nich była Wieża Miliona Horyzontów. Przewodnik kiwał palcem zachęcająco; przez ten czas zdążył zmienić postać trzykrotnie, teraz na powrót miał dłonie i palce. Zuzanna była jeszcze z tych, co się w podobnych sytuacjach zastanawiają: program? człowiek? przedżywy, pośmiertny? a może coś pomiędzy? Ale dla takich bliźniaków Ludo nie posiadają już owe kwestie najmniejszego znaczenia.

Zeszła do piwnicy. Przez muślinową zasłonę lsnu widziała kamienne ściany i strażnika za pancerną taflą; w Abominado natomiast otwierał się przed nią skarbiec Tysiąca i Jednej Nocy. Czarnoskóry džinn zmaterializował się po lewicy, na dłoni miał bliźniaczą kryptokartę. Zetknęli je czytnikami. Niebieska flara ogłosiła zgodność stanów wewnętrznych. Otworzyły się żelazne wrota, weszła. Para impów zapalała olejne lampy. Mimowolnie objęła piersi ramionami, chłód wisiał w powietrzu i we lśnie. Dżinn położył na kamiennym stole skrzynkę depozytową, po czym obrócił się w dym. Drgnęła, gdy wrota huknęły,

domykając się za jej plecami.

No i czyż nie jest to moment telewizyjnego romantyzmu? Nikt nie patrzy – a jednak. Splunęła, nim uniosła wieko. W kątach komnaty pełgały złowieszcze cienie, przeganiały je refleksy od lsennych złoceń szkatuły. Kicz, moja panno, kicz.

Nie zadrżała jej dłoń. Szybka inwentaryzacja, zanim uderzą skojarzenia. Biżuteria w plastikowym woreczku; gruby plik euro; pistolet; zafoliowana mapa; czarne pudełeczko, a w środku grudki ziemi; memochip. Tyle.

Oczywiście pistolet zwyciężył, najpierw na nim zacisnęła palce – zimna kolba, zimna lufa, chropowaty, kanciasty metal. Uniosła, dziwiąc się ciężarowi broni. Stara, dwudziestowieczna maszyna, zero elektroniki. Pachniał stalą i oliwą. Czy jest naładowany? Nie potrafiła uwolnić magazynka, ani przeladować.

Następnie pieniądze. Przeliczyła. Dwanaście tysięcy. Wziąć? schować? Schowała z powrotem.

Mapa – arkusz A4, zaklejony w błękitnawej folii – zawierała czarno-biały szkic okolicy z krętą drogą (lub rzeką) i kilkoma geometrycznymi obiektami (budynkami?). Nie posiadał skali, ani żadnego opisu, ani nie był nijak zorientowany względem stron świata. Samotna strzałka wskazywała punkt przy jednej ze ścian czworoboku.

Ziemię powąchała – nic nie poczuła – i zaraz odłożyła. Pewnie jakaś pamiątka ojca.

Memochip powędrował do kieszeni.

Na koniec – biżuteria. Gdy wyjęła ją z woreczka, okazało się, że to pojedynczy naszyjnik. Od razu spostrzegła różnicę między łańcuszkiem a samym klejnotem: łańcuszek to była prosta i mocna dźdźownica ogniw nierdzewnej stali, ojciec zapewne kupił go po drodze w Sukiennicach; klejnot natomiast... Uniosła go na wysokość oczu. Rozhuśtany, obracał się w te i we w te, do środka i na zewnątrz, i na nice. Nie był to żaden mechanizm, o ile dobrze widziała, lecz składał się z wielu, misternie ze sobą splecionych, ruchomych części, które reagowały na najdrobniejsze zakłócenie równowagi, i tak zaczynał się rytmiczny, wahadłowy ruch w tuzinie kierunków naraz: elementy w kształcie łyż, elementy w kształcie elipsy, haka, litery T, litery S, elementy teleskopowe... A cały klejnot nie był przecież wiele większy od kciuka Zuzanny. Czekwała, aż się uspokoi i potrząsała na nowo. Zamierał w coraz to innych formach, wirujące astrolabium bieli, szarości i czerni. Dotknęła ostrożnie opuszką palca. Ciepły plastik – tak w każdym razie czuła skóra.

Rzuciła go na plik banknotów, ale zamykając szkatułę, zawahała się i przełożyła go do kieszeni marynarki, razem z mapą. Kiedy wszakże oczekiwała na otwarcie żelaznych wrót, dłoń ponownie zakradła się do kieszeni i odnalazła klejnot między fałdami folii. Bawiła się nim machinalnie, wychodząc na ulicę. Jaskrawe słońce obudziło ją z zamyślenia i w pierwszym odruchu, w reakcji równie zwierzęcej co zmrużenie powiek – wyciągnęła i założyła naszyjnik, szybkim gestem odgarniając włosy i wpuszczając w dekolt obracający się nerwowo konstrukt. Zamarł, spocząwszy między piersiami. Spojrzała na swe odbicie w sklepowej witrynie. Kroniczna biel kryła klejnot, jedynie łańcuszek błyskał słonecznymi refleksami.

W ogóle słońce zalewało ulicę, poranny upał przedwczesnego lata zagęszczał powietrze, oddychało się trudniej, chodziło się wolniej. Nie zdawała sobie sprawy, że tyle czasu spędziła w Abominado. Teraz, zirytowana, machając ręką rozpędziła ostatnie opary lsnu. W tramwaju prawie zasnęła, było tak ciepło, że ciało zasypiało wbrew umysłowi, przemocą przełamowała bezruch. Nawet wodna kurtyna elfiej wieży nie przyniosła zwykłego otrzeźwienia. Zuzanna padła na łóżko, ledwo przekroczyła próg sypialni i zrzuciła z siebie garnitur.

Ocknęła się wieczorem, bliźniacy kłócili się o coś w salonie. Był piątek i nie miała żadnych zobowiązań, mogła poleniuchować. Wcześniej planowała zajrzeć do kancelarii Lipszyca, ale okazało się, że w weekend jest zamknięta. Podreptała do łazienki. Dopiero biorąc prysznic, zorientowała się, że wciąż

nie zdjęła naszyjnika. Ale czemu woda miałaby mu zaszkodzić? Podniosła go pod strumieniem ukropu. Klejnot obracał się, zmieniał formę.

W lśnie CNN trafiła akurat na materiał rocznicowy o wojnie w Wietnamie i widok wojskowego cmentarza wzbudził niespodziewane skojarzenia. A właściwie dlaczego nie? – pomyślała, przeżuając kanapkę. Dlaczego nie?

Na parapet kuchennego okna wdrapała się Ula.

– Dasz mi trochę? – spytała, wyciągając szyję ku stołowi.

Zuzanna przewróciła oczyma.

– Czy ja nie wydałam polecenia... Ech.

Poszła po telefon, zostawiony gdzieś w sypialni.

– Dlaczego ją otworzyliście? – syczała na dialoganta oesu. – Czy ja muszę za każdym razem wyłączać ją z poziomu systemu? O co tu chodzi?

– Interakcja z właścicielem jest jej podstawową funkcją, proszę pani. Albo będzie się rozwijać, albo ją zabijemy. Ponieważ nie lśni pani tak często...

– Sposoby na obejście. Słucham.

– A co pani chce obejść? Bo może faktycznie wyczyścimy ten klaster maszyny i pozbędzie się pani problemu.

– A mniej radykalnie?

– Zatrzymać, nie zatrzymamy, ona żyje w czasie chtonicznym. Ale proszę o konkrety, bo nie rozumiem, czego właściwie pani sobie życzy. Wyrzucić ją na stałe poza pani lsen? Przejść bezpośredni zarząd? Skasować, nie kasując?

– A nie można wszystko naraz?

Podczas gdy dialogant, nałożywszy się na *Help* programu symulacji prekonceptyjnej, opowiadał jej przez lsen o opcji Chowaniec i różnicach między przedurodzonymi chtonicznymi i przedurodzonymi kortekсовymi, Zuzanna wdziała sweter i dżinsy, zbiegła na parter i wybrała z wypożyczalni Wieży kroniczny e-rower. Kiedyś jeździła codziennie, ścigali się z Kamilem po starych obwodnicach Krakowa, szpanerskie rowery świeciły fioletowym ogniem, gdy przekraczali sześćdziesiątkę, raz osiągnęła nawet jadowitą purpurę, myślała wtedy, że się zabije, kometa zgnilej czerwieni pędząca w dół szosy... ale zmądrzała, już nie robi takich rzeczy.

Ojciec spoczywał na Cmentarzu Aniola przy drodze do Wieliczki. Był to jeden z tych nowych cmentarzy, zaprojektowanych niczym hipermarkety: parking, przystanek, kaplica i dyskretna restauracja, a poza tym tylko łąki, ugory i pustkowia dokoła, aż po płaski horyzont – chłop z krową największą sensacją wizualną.

Do zmierzchu pozostały dwie-trzy godziny, niebo było czyste, powietrze spokojne, cienie aksamitne; najlepsza pora na wizytę w nekropolii. Zostawiła rower przy bramie. Lsenny przewodnik prowadził ją wąskimi alejkami, bo oczywiście nie pamiętała drogi. Samego grobu także nie – chociaż odwiedzała go w dzieciństwie z matką. Przykucnęła, by przetrzeć rękawem swetra tabliczkę z czarnego kamienia. Imię, nazwisko, dwie daty, i to wszystko, brak choćby krzyża. On chyba rzeczywiście nie był wierzący... Powinna przecież wiedzieć to o własnym ojcu, ale nie potrafiła wydobyć żadnego konkretnego wspomnienia przemawiającego za taką czy inną prawdą; ani też wspomnienia słów matki na ten temat. Matka i ciotka Marianna z chrztu i wychowania były rydzykowcami, lecz z czasem znikły z ich życia jakiegokolwiek zewnętrzne oznaki religijności, a Zuzanna pozostawała już wobec estetyki i języka kultu doskonale obojętna. Teraz przydałyby się jej odpowiednie wzorce zachowania, rytuały zawsze są bardzo pomocne w podobnych miejscach i chwilach, dostarczają mechanizmy organizacji uczuć, słowa i gesty i nawet myśli, które inaczej trzeba wynajdywać samemu, a wtedy na dodatek powinny one być szczere. Zuzanna wodziła paznokciem po literach nazwiska ojca.

Zadzwoiła Lidka, zapytać o przyjęcie urodzinowe. Ponieważ i tak zanurzona we łśnie, Zuzanna przyjęła rozmowę w pełnym zagnieżdżeniu. Lidka, z którą znały się jeszcze ze szkoły podstawowej (ostatni rocznik „opóźnionych”), nie bawiła się w uprzejmości.

– Co jest, umarł ktoś? – rzuciła, rozglądając się po cmentarzu.

– Żebym to ja wiedziała... – mruknęła Zuzanna. Postukała w tabliczkę. – Tatuś. Ale trumna pusta. Puff, był i nie ma. Zaginiony w akcji, się okazuje.

– To znaczy – co?

– To znaczy, że nie wiem.

– No więc po co tu przysłaś?

– Ha. Sentymenta głupie. – Wstała, zapaliła. – Co u Porki?

Kiedy rozmawiały, podniósł się lekki wiatr i spadła temperatura; nie było to jednak lato, pomimo całej tej inżynierii klimatycznej. Zuzanna ściągnęła rękawy swetra na przedramiona. Co właściwie powinna czuć, stojąc nad grobem ojca? Cholera, coś powinna, żal, tęsknotę, pretensje, miłość, nienawiść, cokolwiek, w filmach podczas takich scen płynie najbardziej pompatyczna muzyka – a ona co? Wydmuszka. Przygryzała policzek, dopóki nie poczuła na języku słonej krwi; potem z lekka sepleniała, lewe oko jej załzawiło.

– Wieje tu coraz mocniej.

Po rozłączeniu się Lidki dopaliła jeszcze papierosa; chciała rzucić peta na ziemię, ale zreflektowała się. Obróciła się, szukając wzrokiem kosza. Czy na cmentarzach są kosze na śmieci? Spojrzała ponad grobem.

Gdzie powinno się rozciągać puste pole, ugór i łąka z chłopem i krową – stało Miasto. Zachodzące słońce zostało całkowicie przesłonięte przez bryłę monumentalnej architektury i Zuzanna zorientowała się, że – wraz z całym cmentarzem – znajduje się w Miasta głębokim cieniu. Wstrząsnął nią nagły dreszcz, jakby czarny, ośliniony jęzor przelizał całe jej ciało. Wieczór był późny, to prawda, lecz pierwsze budynki dzieliło od granic nekropolii bodaj kilometr; jakże więc musiały być wysokie! Z trudnością szacowała ich rozmiary, ich proporcje nie były proporcjami znanymi z jakiegokolwiek miasta Ziemi. Na przykład ten biały ostrosłup po lewej – czy on rzeczywiście miał dwudziestometrowe okna i czterdziestometrowe drzwi? Czy to w ogóle były okna i drzwi? Ze strzępiastej korony budowli zwieszały się na krzywych łukach sztandary płynnego szkła, powolne światło zmierzchu przebijało się przez nie wstęgami gorących kolorów, spojrzała i musiała zmrużyć oczy. A obok – obok migotał, to zjawiając się, to znikając, gigantyczny pomnik – czego? rośliny? Może była to rzeźba abstrakcyjna. A może w ogóle nie rzeźba – kryształowe monstrum wielkości Empire State Building. Jeszcze większy był kanciasty zamek wiszący na nieboskłonie w głębi Miasta, częściowo przesłonięty przez szczyty budowli naziemnych – zamek, forteca, cytadela zaprojektowana przez pograżonego w depresji kubistę. Znajdował się zbyt daleko, by ocenić to gołym okiem, lecz Zuzanna była przekonana, że nic go nie podtrzyma. Na ciemniejszym niebie zachodu majaczyło jeszcze kilka takich brył, co do istnienia materialnych fundamentów których posiadała poważne wątpliwości. Miasto nie respektowało żadnych zasad architektury, trudno też było Zuzannie, kiedy tak gapiła się z wpółotwartymi ustami, znaleźć dla niego wspólny klucz estetyczny. Z wnętrza beczkowatej konstrukcji, jednej z bliższych – a też wysokiej na kilkaset metrów – wypadło i chowało się świetliste wahadło, wielki młot jasności. Błumm, bułumm, błumm, bułumm. Zbyt długo patrzyła, serce zaczęło jej bić do rytmu – ale nie potrafiła odwrócić wzroku, monumentalność tego ruchu była hipnotyczna, młot wbijał patrzącego w ziemię. Czy istotnie światło buchało z jego środka przez rzędy bulajowatych okienek...? Do taktu zmieniały się na ulicach Miasta strefy cienia. Sprawiało to wrażenie, jakby najbliższe budynki obracały się to profilem, to tyłem do Zuzanny, kryjąc i odsłaniając dzikie oblicza. Próbowwała nazywać je w myśli: Barbarzyńca, Krogulec, Szubienica, Żołądz. Z Szubienicy zwiślał jakiś organiczny kształt, którego natury nie była w stanie

odgadnąć; nawet tego, czy faktycznie jest martwy, czy żywy. Huśtał się lekko na wietrze nad szeroką aleją wychodzącą wprost na cmentarz i Zuzannę – kłęb brunatno-żółtych organów, trzydzieści metrów minimum. Że wiatr w ogóle poruszał taką masą, świadczyło o jego sile. Nad groby docierał już mocno osłabiony, zaledwie chłodny powiew. Nie widziała, skąd nadchodził, perspektywę alei zamykało gigantyczne gruzowisko bloków czarnego kamienia, wyższe od większości budowli, spiętrzone w asymetryczną piramidę, po północnym zboczu której spływał fluorescencyjny dywan. Przesuwały się po nim w górę i w dół plamki cienia, jakby ktoś tam biegał po ruinie, przesłaniając sukcesywnie źródła blasku. To wszakże była jedyna dostrzeżona przez Zuzannę oznaka życia w całym Mieście, sama wątpliwa. Poza nią każdy ruch zdawał się ruchem czysto mechanicznym. Nikt w tym Mieście nie mieszkał, Miasto było bezludne, Miasto było martwe, spoglądała z jednego cmentarza na drugi, i dopiero na tę konstatację zimna groza wbiła w nią szpony.

– *What the fuck...?* – Podobnie jak wyrazy szczęścia, skruchy i wdzięczności, także ekspresja szoku przychodzi już najłatwiej w formach zrytualizowanych przez hollywoodzkie kreacje, i miłość bez wstydu wyznaje się jedynie po angielsku; tylko najbardziej miałkie słowa przechodzą przez ściśnięte gardło.

A teraz nikt nie patrzył, nie było w tym pozy – jednak nawet owo zmarszczenie brwi, szarpnięcie głowy wstecz, gest energicznego podwinięcia rękawów, wszystko wykonała podług szablonów medialnych.

Wzięła głębszy oddech i wyjęła telefon.

– Co to jest, do cholery? – warczała na dialoganta oesu. – Kto mi się tu whackowuje w lsen?!

– Nie odbiera pani żadnej transmisji.

– Gównno tam żadnej!

– Proszę więc samemu wyjść ze lsnu.

Wyszła. Miasto stało.

– Wyszłam. Nie zniknęło. Pierwsza rzecz z rana: zmieniam providera. A coście powypisywali w umowie o zabezpieczeniach...! Pozwę was, do cholery, cud, że udar mnie nie trafił od takiego lsnu! Wyłączcie to, zanim faktycznie dostanę wylewu!

– Powtarzam pani, rejestr jest czysty. Przypuszczam, że to po prostu lekki RCS. Proszę się uspokoić i...

– RCS! *Motherfucker!*

Rozłączyła się. Usiadłszy na sąsiednim nagrobku, policzyła do dwudziestu. Miasto stało. Ten młot... Błumm, bułumm. Odwróciła wzrok.

Zaczęła gryźć paznokcie, mimowolnie co chwilę zezując jednak w bok. Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do Maleny i przyjąć kuzynkę na równoległej lokalizacji, ale zaraz przypomniał się jej lepszy sposób weryfikacji lsnu. Przeszukała kieszenie dzinsów. I rzeczywiście, w prawej tylnej znalazła stary listek ubika z dwiema ostatnimi tabletkami. Jedna to dosyć, ale zerknąwszy raz jeszcze na Miasto, połknęła obie.

Wyczytała na pomiętym srebrnym plastiku, że libaryt powinien zostać zneutralizowany i wytrącony z krwi w ciągu najwyżej kwadransa. Tymczasem siedziała na zimnej płycie przy grobie ojca, w cieniu nieprawdopodobnej metropolii, i z każdą minutą coraz bardziej w siebie wątpiła. Może to faktycznie *Reality Confusion Syndrome*? Znajomy ze studiów na niego cierpiał, skończył z implantem ubika w ramieniu. Raz chcieli zrobić mu kawał, odwiedzili go wszyscy pomalowani na niebiesko. Nie drgnęła mu powieka.

Cień Miasta był lepki, ciężki, czuła jego nacisk na zgarbione plecy. Spróbowała z premedytacją odwrócić odeń myśli. W poniedziałek odwiedzi kancelarię Lipszyca – tam już na pewno będzie czekał jakiś list od ojca, jakieś wyjaśnienie, nie nagrał przecież tej wiadomości bez przyczyny i nie zostawił spadku – jej właśnie, nie żonie, ani krewnym, ale jej – bez celu. Prawda, nie sprawdziła memochipu,

może to na nim... Bo teraz już poczułaby się rozczarowana, oszukana, gdyby okazało się, że ojciec istotnie żadnej manipulacji nie zaplanował. Jakby nie było, jest to jakaś forma kontaktu, choćby jednostronnego, jakieś porozumienie.

Podniosła telefon. Minęło dwadzieścia minut. Nie musiała się nawet oglądać, monumentalny cień krył wszystko.

Ruszyła krętymi alejkami ku drugiemu wyjściu z cmentarza. Ni żywego ducha. Nareszcie na bocznej ścieżce, przy wysokim grobie rodzinnym, dojrzała modlącą się staruszkę.

Podbiegła.

– Przepraszam panią bardzo, czy... czy to jest to nowe centrum handlowe?

Babcia spojrzała krzywo na Zuzannę.

– A bo to wiadomo, co oni teraz budują, w jedną noc jakieś dziwadła, a u mnie na osiedlu...

– Nie widziała go pani poprzednio? – Zuzanna obróciła ku Miastu, zmuszając staruszkę, by podniosła na nie wzrok.

– Dziecko, ja wracam do domu i nie poznaję ulicy. Dawniej, jak wnoszono budynek, miałaś czas się przyzwyczaić, wykopy, fundamenty, w zimie przestój, więc wszystko zamykali, rok, dwa, rósł jak drzewo; a teraz, ani się obejrzysz i...

Nie było już wątpliwości: ktoś zbudował tu Miasto, gdy odwróciła wzrok szukając kosza na śmieci.

Wyszła z cmentarza przez boczną bramę. Po lewej miała restaurację, wciśniętą częściowo pod poziom gruntu i zwróconą tyłem do nekropolii, oraz sklep z dewocjonaliami. Sprawdziła, ale oba były już zamknięte: restauracja w ogóle nieczynna, a sklep z powodu późnej godziny. Obejrzała się na szosę. Co jakiś czas przemknął samochód czy dwa, lecz żaden nawet nie zwalniał, zresztą znajdowały się zbyt daleko, by pasażerowie dojrżeli w wieczornym półmroku coś więcej prócz ogólnych zarysów budowli. A starowina miała rację: elfie technologie pozwalały na błyskawiczne przebudowy całych dzielnic, ludzie dawno się już przestali dziwić nagłym rewolucjom urbanistycznym. Ale, na miłość boską, nikt nie wzniesie miasta w sekundę!

Zadzwoiła do bliźniaków Ludo.

– Na wypadek gdybym nie wróciła: starożytna metropolia wyskoczyła spod ziemi za Cmentarzem Anioła, idę pozwiedzać.

– Co? – zachnął się Bartek.

– Coś słyszał.

– Wpuść mnie.

– Jestem na ubiku, myślałam, że to jakaś nakładka. Ale nie. Pa, zanim stracę odwagę.

Wyłączyła i schowała telefon.

Miasto czekało cierpliwie. W miarę jak zbliżała się doń i widziała coraz więcej, pytań przybywało. Na przykład: jak duże ono było? Patrząc w głąb, ku horyzontowi, liczyła tylko kolejne ciemne sylwety budowli, jedne przesłaniające drugie, nie było im końca, a ponieważ grunt się nie podnosił, Miasto po prostu rozpyływało się w wieczornym półmroku. Lecz jak było szerokie? Wydawało się, że nie bardziej niż sam cmentarz. Paradoksalnie, kiedy podeszła na kilkadziesiąt metrów od pierwszej ruiny i była w stanie zajrzeć już „do wnętrza” Miasta, w bok, przez jego flankę – tam też zobaczyła mroczną nieskończoność wysokich labiryntów, rzeźby monumentalne i zwichrowane iglice aż po purpurowe chmury. No więc jak to jest? Czy wielkość Miasta zależy od kąta spojrzenia? A może nie patrzy tu wcale na samo Miasto, lecz fatamorganę, jego odbicie napowietrzne, czy wręcz holograficzną projekcję? Może takie jest wyjaśnienie: że to próba jakiegoś projektora ogromnej mocy...? W końcu odludzie i pora późna, mieli prawo się spodziewać, że nikt nie zauważy...

Hipoteza upadła po kolejnych kilkudziesięciu krokach, gdy zmieniła się nawierzchnia i z nierównej, błotnistej łąki, w której grzęzły jej sandały, Zuzanna wstąpiła na lustrzany bruk Miasta. Aleja tu się

zaczynała, czy też raczej tu się kończyła: lekko ukośnie ucięty chodnik wystawał około trzydzieści centymetrów ponad łąkę. Zuzanna zaraz z niego zeskoczyła, by przyjrzeć się pionowemu przekrojowi drogi. Pod lustrem znajdowała się jednolicie czarna masa, w dotyku gładka i twarda. Samo lustro było idealnie czyste, odbijało wszystko bez najdrobniejszych załamań. Wskoczyła nań z powrotem. Założy się, że sukienki i spódnice wielkiej kariery tu nie zrobili, pomyślała z wysiloną ironią. Tupnęła mocno. Ani rysy.

Po prawej miała pierwszą z szeregu ruin, za którymi niezmordowanie łupał w zmierzch Młot Światła. (Jasno – ciemno – jasno – ciemno – jasno – ciemno... Już trochę bolała ją głowa, bez przerwy musiała mrużyć oczy, wpółślepią; źrenice akomodowały z opóźnieniem). Zawaliło się tu coś w rodzaju stadionu, otwartego cyrku – kryształowe Coloseum. Gruz wylewał się grubym jeżorem aż na lustro chodnika. Podeszła do granicy zwału; płaskie obcasy sandałów trzaskały głośno o diamentową powierzchnię alei, niosło się to po Mieście dziwnym echem. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, na jaki to strach jej ciało reagowało gęsią skórą i przyspieszonym biciem serca: w Mieście panowała bowiem całkowita, nienaturalna, niczym nie zmacona cisza. Jakby ktoś zdusił do zera potencjometr dźwięku. Ni jednego szmeru, ni szelestu, nawet to, co się porusza – Młot, Młot promienisty – porusza się bezgłośnie. Dopiero w ich braku poznajemy atrybuty życia; życie jest hałaśliwe, śmierć milczy dyskretnie. Zuzanna schowała dłonie w długich rękawach swetra.

Uklękawszy podniosła najmniejszy fragment zniszczonej budowli: odłamek wielokolorowego kryształu, w kształcie asymetrycznego klina, niewiele dłuższy od wskazującego palca. Podstawową barwą był błękit, lecz we wnętrzu kryształu biegła kręta żyła bursztynowej żółci, która, gdy Zuzanna uniosła odłamek ku oku, rozżarzyła się jaskrawo w nagłym świetle Młota. Obracając przedmiot w ręce, wyczuła różnicę w fakturze jednej z powierzchni. Tylko ona nie była gładka; musiał się podczas upadku odszczepić od głównego bloku w równym pęknięciu, to zaś, co wyczuła pod opuszkami, to ornament pokrywający ścianę Coloseum. Ornament lub napis – obróciła kryształ pod kątem do szybko przemieszczającego się źródła światła – bo może to były litery, ideogramy, hieroglify języka Miasta, kto wie, co...

Krzyknęła spadając. Uderzyła się boleśnie w kolano, druga stopa wbiła się w miękką ziemię, prąd przeszedł po kręgosłupie Zuzanny, gdy nieprzygotowane ciało runęło na łąkę – ale kryształu z dłoni nie wypuściła. Klnąc, podniosła się na nogi. Puste pole, cmentarz, noc, odległe reflektory samochodów. Nie ma, nie było tu żadnego miasta. Świerszcze grały uspokajająco. Sprawdziła, czy telefon się nie rozbił – ale nie. Kuśtykając ku rozproszonej konstelacji ogni nagrobnych, zadzwoniła po taksówkę. Pieprzyć rower.

Jacek Dukaj

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)